

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 15 lipca 1916 roku.

Nr 29.

Piotr Choynowski.

Pan Bratkowski.

2

Z Frankiem to było tak. Zwiędział się jakoś, że pan Bratkowski mauzerką kryje (czego bo ta szelma nie wywahał!) i zażaz do niego. Oczyma przewraca, jak szatan, mówi złodziejskim szeptem. Że jest niby wywiad do zrobienia, daleki, strzelaninka pewna, że jedenastu ma w kieszeni, a chce dwunastu, jak apostołów. Komendant pozwala. Czy dziadzio pójdzie? Na dwunastego, he? — Pan Bratkowski; milczy. — Strzela dziadzio dobrze, Franek sam widział. Więc jak będzie? — Pan Bratkowski milczy. — Boi się dziadzio? A no, może być i śmierć. Więc się boi? — Pan Bratkowski ramionami z pogardą wzrusza, milczy. — Bo to ta konnica (Franek był w wywiadowcach), to byle dwa razy strzeli i w nogi... Ha, każda broń ma swoje sposoby... Splonął pan Bratkowski. „Pójdę” — mówi. Uśmieł się wtedy Franek tego.

Ano poszli. Grom z nimi. Przebrani po cywilnemu, mauzerki pod kurtkę, naboje po kieszeniach. Podwoził ich kmiotkowie na wozach, żydzi na bryczuszkach — nie, żeby zmuszali, nie: pokazał koniec łufki, żydek jedzie, z ochotą jedzie. Oj, oj — jemu jest wcale dobrze, nawet zupełnie dobrze, onby z panami na koniec świata. Wio! ty, głupi! Dalej na pieczę. Minęli ostatnie zajęte wsie, minęli pikiety, zapadła noc. Ulokowali się w jakiejś wsi u czyichś znajomków. Franek znikł. Całą noc go nie było: amory, albo i nie amory, bo cały ranek wzdął, smarując ołówkiem w brudnej książeczce. „A teraz zabawa, chłopcy. Jazda!” Znowu poszli. Rozdzielili się przed miasteczkiem, po trzech w główne ulice. Na rynku dragoni konie czyszcza. A już Franek chusteczką machnął...

Trach, trach, trach! Jak nie splunął! I znowu! Tr-tr-tr!... tr-tr-tr!... — niczem karabiny maszynowe! Na rynku popłoch, wrzask, kwiczenie postrachanych koni, jęk, pojedyncze po murach strzały. Pan Bratkowski wlażł za żydowskie schodki i walił. Jezu, jak walił! Nim się toto opamiętało — rzeźnia! co łup — to trup! A już komendę słychać, konie bokiem przeprowadzają, oficerka ranego przenieśli — komenda — marsz! Poszli. Kilku tylko zostało, gorętszych widać, pod komendą wachmistrza. Strzelają. Na Groma się szczególnie uwzięli. Co chłopak karabinek z za węgła wysunie, już go wachmistrz ma na muszce; co się brodacz wychyli, już nań Gromik czatuje. Ciciu-babka. Patrzy pan Bratkowski, mógłby wachmistrza z boku dostać, a nie chce, bo ciekaw końca. Widzi — zdjął Grom czapkę z głowy, wsadził na koniec buta. Podniósł nogę, czubek z za murka wysuwa i cofa, wysuwa i cofa... Brodacz aż się oblizuje. Wziął na oko, czeka. I raptem trach! trach! z pięć razy! Aż pierze z czapki poszły! Wtedy Grom nogę spuścił, wysunął się w pół ciała — buch! buch! — tylko dwa razy strzelił... Wrzask zrobił się wielki, poderwali tamci ranego, dosiedli swoich, w konie. Jeszcze im Franek pożegnanie salwą posłał. Zdobyli miasto.

A już poczęły się w maleńkich na rynku oknach ukazywać białe, jak papier, twarze. Żydziaki, żydówceczki śliczne i brudne niesłychanie, roztrzęsione matrony o galaretowatych kształtach, wyrostki blade i ponure... Gwałt, reijwach. Gdy zobaczyli, że ich tylko dwunastu — przerazili się strasznie; gdy usłyszeli polską mowę — przestraszyli się stokroć bar-

dziej... Płacz, krzyki, machanie brudnymi rękami, lament. Wystąpiło dwóch patryarchów, poszwargotali z Frankiem krzywą, atrament się zjawił, bibuła. Zagryzmolił Franek papier z pieczętką, kazał przybić w środku rynku. „My, dwunastu wywiadowców wojsk polskich, przepędziliśmy cały wasz szwadron. Servus, Franek”. Przetrzęsneli jeszcze zabitym kieszenie, papiery im zabrałi, książki służbowe i — zbiórka. (Groma trzeba było gwałtem w sieni od jakiejś żydówceczki odrywać). Uformowali sześć dwójek, zaśpiewali żydom „Jeszcze nie zginęła” ku większej paradzie — poszli.

Za miastem zwolnili szyków, podyrdał każdy, jak kto chciał. Franek, wesół, jak szczygiel, tracił w bok pana Bratkowskiego.

— No jakże, dziadziu? Dobrze było?

Pan Bratkowski wzruszył ramionami z pogardą.

— Co dobrego? Tyle że trzeba będzie broń czyścić.

— Zawsześmy tam szwadronik spłoszyli.

— Phi... Wielka sztuka! Z zasadką konnica rady nie da. Wiadomo.

Obraził się Franek.

— Niewiedzieć, czegoby znów dziadzio chciał. Pułki mieliśmy rozbić? armaty? generała do niewoli?

— To nie... Ale tak szarżę i po łbach się przejechać! Ba!

Teraz Franek wzruszył ramionami.

— Te, Grom! Słyszysz go! Husarz z pod Wiednia. Szarża mu we łbie.

Grom podniósł sokołą twarz od roboty, bo właśnie swego wachmistrza kreską na kolbie znaczył (zebrało się tych kresek już siedem), pomyślał chwilę i mówi.

— Śliczna była żydówceczka! Wiesz, Franek, ja tam wrócę. Nie daruję.

Tamten splunął ze złością:

— Szczeniak!

Nie miał Franek dużej pociechy z pana Bratkowskiego w tej wyprawie. Może pięciu wiorst drogi nie uszli, rozległy się z blizkiej kępkę strzały. Buch, buch, buch! Ano, komenderuje: „Do rowu! Padnij. Celownik 600! Salwa! Pal!” I strzelała sobie, więcej dla rozrywki — bo co im kto w rowie zrobi? A już i pikiety zaczęły się odzywać. Kulki świszczą, przenoszą. Ogląda się Franek z nudów, patrzy — aż mu oczy ze zdumienia na wierzch wyszły: pan Bratkowski stoi sobie na drodze, jak słup telegraficzny, nawet strzela mało.

— Dziadziu, padnij! Padnij do stu psów. Słyszysz?!

Ukląkł stary na jedno kolano z niechęcią.

— Do rowu! Padnij! Padnij, mówię!

Nie rusza się, ani nie odpowiada. Strzela sobie powolutko, mierzy długo, wytrwale. Ledwie się wtedy Franek nie wściekł ze złości. „Zastrzela mi starego. Niech to dyabli!” Szczęściem tamci przestali pierwszyboki mieli widać niekryte. Poszła dwunastka spokojnie dalej. Dopiero w południe, przy dwóch dzieżach kwaśnego mleka, pyta Franek łagodnie:

— Cóż to dziś dziadzio sztandar udawał, he?

— Ubrania mi szkoda kurzyć. Cudze.

Nieprawda. Wcale nie dlatego stał. Ale trudno mu było Frankowi wyznać, iż wstydził się poprostu owego padania, krycia się przed kulami. W solidnej jeszcze strzelaninie, we własnym szwadronie, wobec rozkazu — ale tutaj! kolana mu się jakoś nie gięły. Niech dyabli takie wyprawy. Rozstali się z Frankiem z wzajemnym szacunkiem, ale i trochę urazy. „Lepiej każdy swoje...” myślał pan Bratkowski. „Ja jestem żołnierz regularny”.

Coś wkrótce potem formowano drugi już szwadron tej konnicy. Wzięła pana Bratkowskiego do komendanta razem z Gromem. Grom skrzywił się, idzie, idzie i przystanie — myśli, czy nie o tę głupią żydóweczkę. Nie lubił drobiazgów.

— Jakże, dziadziu — pyta komendant — zdrow?

— Wedle rozkazu, komendancie.

— Mam tu dla was obu nominację na wachmistrzów. Do nowego szwadronu. Chłopaków mi werbować, o konie dbać, musztrować, ostro trzymać. Już.

— Wedle rozkazu, komendancie!

Myślał pan Bratkowski, że mu z ochoty dłoń do czapki przyrośnie przy tem salutowaniu. Niebo się przed nim otwarło. „Poznali się na Bratkowskim, choć stary” — myślał

z dumą: „ale jeszcze Bratkowski więcej pokaże”...

Palila mu się ta robota w rękach. Inny w dziewczętach tak nie przebiera, jak on w rekrucie: ale co którego na koń wsadził, to siedział, jak przyszyty. Całe Kieleckie o szkapy zjeździł, kulbaką zacne miał, jak łózka... A musztra, mocny Boże! Najteższe chłopcy stękały z umęczenia, a jemu mało i mało, źle i źle. Mocnego słowa zaś, a i ręki, gdzie trzeba, nie żałował: jeśli skąd srogi wrzask dochodził, uśmiechali się oficerkowie: — „Oho, dziadzio swoich kształci”. Zeszedł się temj czasy na wiórek: nos mu wyciągnęło w sępi dziób, pod nosem wiechy ogromne, białe, w czarnej twarzy ślepia błękitne, jak turkusy, a ostre, jak stal. Wyszykował też plutonik galanty, Grom aż za dziewczętami przestał gonić z zazdrości, a jak kiedyś na rewii zwinął pan Bratkowski szeregi i znów je rozwinął i skrzywił jakby cyrklem mierzonom w kole, to szmer przeszedł wśród najstarszego oficerstwa: „patrzcie, patrzcie! Bratkowskiego pluton!” A pan Bratkowski z boku, w czystiutkim mundurze, sznurek przez pierś zielony, mina — kroć sto tysięcy, klacz pod nim starogniada, jak lza!

Gustaw Daniłowski.

POWIEŚĆ.

L I L I .

13

— O, Stef! — chwyciła go za obie ręce — dziękuję ci za to „my”! Widzisz, jak szybko zjawilo się na ustach to dobre słowo, a co będzie po miesiącach, latach współżycia; nie jesteśmy starzy, mamy dużo czasu przed sobą. Polubisz Brunona, a otóż i on — dodała radośnie, słysząc jego kroki.

— No, — rzekł, wchodząc zamasyżuje Brunon — załatwiłem dziś moc interesów; chodź Stefan do stołu!

— Nie, tu stół przynieście, będziemy jeść razem; czuję, że mam dziś świetny apetyt... a myśmy też świetnie załatwili pewne interesa i doszliśmy do znakomitych rezultatów — spojrzała z wdzięcznością na Stefana.

— Brunonie, popraw mi poduszkę, niech siąde do tej pierwszej kolacyj we troje. Prawda, jak nam dobrze, wesoło! O, musicie teraz zabiegać o moje względy: jak Brunon mnie zbirczy, uciekam się pod opiekę Stefana; jak Stefan kaprysi chowam się za plecy Brunona, a jak obaj są, jak dziś, dobrzy, to...—objęła ich za szyję i pocałowała serdecznie.

Podczas kolacyj Lili stała się tak ujmującą, tak miłą, że Brunon odzy-

Ba, ba! Szczęśliwe to były dla pana Bratkowskiego czasy.

Wiedział dobrze, że choć go chłopcy teraz „starym dyablem” w cichocij zwali, a przecie żadenby pluton nie zmienił dobrowolnie; wśród zwierzchników mir miał ogromny, w wojsku sławę niezgorszą. Mało go ogólnie perypetye wojny obchodziły; gazet nawet w cukierni nie czytał. Dziwiło go też ogromnie powszechne przy odwrócie zmartwienie; odwrót, nie odwrót, a wojsko polskie jest i on w tem wojsku; skoro jest wojsko, to się będzie biło, a jak się będzie biło, to i zwycięży... Tę pewność nosił w sobie, jak słońce. Wyforowały się ze swoim plutonikiem naprzód, myszkował po tych rodzinnych stronach, jak król. Tu strzelaninka, tam paru jeńców, owdzie koników kilka, czasami rekruta trochę... Dbały był teraz o swoich chłopców, jak ojciec — wygody mieli też niegorsze, niejednemu pyski świeciły się od jada, niby polewany garnek.

Doszli tak aż do Olszynki. Tu ucieszyło się pana Bratkowskiego serce. „Poczekaj, Bogusławski, kuto stary, poczekaj!” — myślał złośliwie. Zaraz też pchnął przodem poczeki po owies.

Dokończenie nastąpi.

skął swój dawny humor. Stefan też się śmiał i czas im spłynął niezwykle przyjemnie.

— No, ale Lili, czas... — rzekł Brunon, spoglądając na zegarek — i tak rozdokazywaliśmy się zanadto — czas spać. Czekać, a kropole! — Brunon odmierzył lekarstwo, Lili krzywiąc się wypiła i wstrząsnęła się, a potem rzekła:

— Ponieważ obaj jesteście zmęczeni, zostanie przy mnie ten, który wyciągnie wezelek, a potem na zmianę — związała chusteczkę.

Los wyciągnął Brunon.

— Stef, proszę spać, mleko masz przy łózku, a jutro o dziewiętej musisz wypić swoją porcyę i proszę nie palić w nocy — pa! — przesała mu ręką pocałunek.

Gdy Stefan wszedł do siebie, przystojna pokojówka stała właśnie łózko.

— Czy pan czego nie potrzebuje? — spytała dość zalotnie.

— Nie — po pewnej pauzie jakby wahania odparł Stefan, któremu w głowie drgnęła jakaś mętna myśl.

— Dobranoc — powtórzył na jej „dobranoc” i począł się rozbiierać.

— Musiałaś się Lili zmęczyć — gadał, wyciągając się na fotelu, Brunon — czujesz się chwilowo podnie-

cona, ale oby się to nie odbiło w przyszłości.

— A jak ci się Stefan wydał?

Lili patrzyła nań badawczo.

— Tak, nie zmienił się wiele, twarz tylko nabrała wyrazu; może on i sympatyczny.

— Bardzo — zapewniała z przekonaniem Lili — zobaczysz, jak się z nim rozgadasz. Kolegowaliście zresztą przecie i żyliście z sobą dobrze.

— Tak — ale, ja ci szczerze powiem, i ty to chyba rozumiesz, on mi kradnie...

— Co?

— Część twego serca!

— Brunonie, w sercu niema przegródek. Ty traktujesz serce nadto materyalnie, jak plan domu, i zdaje ci się, że jeżeli ktoś zajmuje pokój w lokalu, to dla drugiego mniej pozostało!

Tak nie jest, przecież weź choćby rodziców, którzy są w stanie kochać kilkoro swych dzieci jednakowo i silnie, nie czyniąc żadnej różnicy. Tak samo ja was; cała różnica polega wcale nie w napięciu, ale tylko w różnorodności wzruszeń, które budzicie we mnie. Ty pewne emocje, on inne i tak pełnią uczuć żyje z wami.

Dziś dopiero po raz pierwszy poczułam się do głębi, całkowicie szczęśliwą; nie psujcie mi tych słonecznych dni, być może, ostatnich...

Lzy jej popłynęły po twarzy.

— Lili, nie płacz — całował ją w oczy Brunon — będę się starał z całej duszy stłumić wszystkie niechęci, uprzedzenia; może to jest możliwe!

— Możliwe — mówiła przez szloch Lili, — tylko, że niezwykle i dlatego wydaje wam się dziwaczne i trudne, całe góry przesądów, konwenansów stoją temu na przeszkodzie. To jest tak, jak z owym Turskim, o którym mi opowiadałeś; rzucił na drugi dzień po ślubie swoją piękną, inteligentną, pełną uroku żonę, bo się przekonał, że nie jest intakta i ożenił się z podstarzałą, podwójną wdową...

A twój stosunek do pani Anny? nie byłeś przecie zazdrosny o jej męża.

— Zapewne, ale przypuszczam, że w tym okresie czasu kochała mnie prawdopodobnie więcej, niż męża.

— Jak długo?

— Prawie kwartał...

— A potem jak uciał, co?

— Gorzej, bo wrogi stosunek.

— Taka to i była miłość! a moja jest trwała i chyba w moich ramionach czułeś, że jestem twoja cała i niepodzielna... Czegóż więcej żądasz? — dodała prawie z rozpaczą.

— Niczego Lili — uspokój się, będzie wszystko, jak chcesz — począł ją zapewniać Brunon.

— No, pamiętaj — ścisnęła go mocno za rękę.

— Pamiętaj Brunonie, zobaczysz, jak wszystko będzie dobrze,

jak będziemy żyli radośnie, pełni szczęścia...

— Połóż się i śpij spokojnie, ja dziś będę spać dobrze, bez żadnej trwogi i lęku, posłuchaj, jak mi serce równo bije, światło na wszelki wypadek zostaw, no, a teraz dobranoc!

Wtulila twarz w poduszkę, zaciśnęła powieki i leżała nieruchomo, jakby się obawiała stracić tę równowagę ducha, której nie doświadczała oddawna.

Życie ich we troje zaczęło się składać dość pomyślnie.

Obcowała więcej ze Stefanem, gdyż Brunon wiele czasu musiał poświęcić swym fachowym zajęciom.

W jej chorobliwym stanie nerwowa i trochę neurasteniczna natura poety dopasowała się łatwo do jej nastroju ducha, ale jednocześnie trochę ją męczyła, to też z uczuciem jakoby wytchnienia witała Brunona, który wnosił z sobą zdrową werwę, świeży oddech życia. Obiadowali zwykle razem i były to dla nich istotnie bardzo miłe chwile.

Gdy potoczyła się ożywiona rozmowa, gdy obaj mężczyźni zbliżali się w niej ku sobie, gdy jakieś głębsze, wypastowane w marzeniach zdanie Stefana wywoływało zaciekanie Brunona, a z kolei jego logiczny, treściwy i dosadny sposób wyrażania się zastanawiał Stefana, Lili rozpromieniona, rozmiłowanym wzrokiem patrzyła na nich, niby matka, dumna ze zdolności swych dzieci. Zdała się szczyć nimi.

I gdy który z nich czemś zaimponował drugiemu, wybuchała wesołym śmiechem i nieraz klaskała w ręce z radości.

— Rozumny z ciebie człowiek, — mawiał nieraz Stefan.

— Oryginalny masz sposób ujmowania rzeczy — przyznawał Brunon.

A Lili podnosiła się na posłaniu i, podnosząc uroczyście palec, mówiła:

— A widzicie!

A gdy pytali, co mają widzieć, odpowiadała.

— Żem potrafiła was ocenić i że mam dobry gust.

Czuwali w nocy przy niej na przemian.

Brunon zwykle szybko zasypiał; Stefan dłużej przesiadywał i rozmyślał nieraz do późna.

Lili ogromnie zajmował w tym czasie świat zagrobowy i to było częstym tematem ich rozmowy.

Brunon w tych sprawach nie umiał nic powiedzieć, Stefan rozwijał rozmaite fantastyczne teorie i był raczej skłonny wierzyć w nieśmiertelność duszy.

— Trudno — dowodził — wyobrazić sobie, w jakiej postaci ciągnie się to bytowanie po śmierci; w absolutnie bezcielesnej nie da się jakoś pomyśleć: może jest to jakieś ciało astralne, podobne do tych eterycz-

nych kształtów, które zdarza się nam widzieć w snach.

Nie może mi się pomieścić w głowie, żeby z ślepego wirowania atomów, z bezdusznej mgławicy mogła powstać tak skomplikowana istota, jak człowiek z całym bogactwem świadomości i czucia.

Trudno sobie wyobrazić, żeby życie nasze, życie całych pokoleń, zabiegi, dążenia, ogrom cierpienia i wysiłków, wszystko, co było, jest i będzie, miało się zapaść w głuchą, ciemną otchłań niebytu.

Jak to jest — nie wiem, ale w każdym razie nie jest tak, jak to w nauce jest przyjęte i pewny jestem, że te poglądy pozytywne nie sięgają do rdzenia umysłu.

IV.

— Gdyby było inaczej, gdybyśmy byli przesiąknięci całkowicie przekonaniem, że czeka nas nicość, ludzieby się błakali, jak widma, pozbawieni zdolności czynu, niepodobna bowiem żyć z poczuciem śmierci.

— O tak! toby było straszne, okrutne! — Lili podniosła się na posłaniu z blaśnością na twarzy.

— Gdy czasem pomyślę, że tak być może, to mnie chwyta taki lęk, że wszystko się kułi we mnie i dlatego muszę mieć kóregoś z was przy sobie, by go chwycić za rękę, bym mogła poczuć struchlałą duszę, że nie zgine samotna...

Brała go za rękę i poznawała o ile jest delikatniejsza i bardziej nerwowa, niż muskularna, silna dłoń Brunona. Dopóki Stefan nie zdradzał senności, Lili z jakąś gorączkową siłą starała się podsycać rozmowę, bo, skoro następowały pauzy milczenia, dostrzegała w oczach poety omdlałe spojrzenie budzące się miłosnej tęsknoty, ledwie dostrzegalne drganie warg, na widok czego jej usta mimowoli składały się do pocałunku a głos łamał się i grzął w rozdętej szyi. Przymykała oczy, by go nie widzieć, ale czuła jego wzrok ślizgający się po jej twarzy, po ramionach i ażurach cienkiego batystu.

— Lili — posłyszała kiedyś z jego piersi wydzierający się nabrzmiął namiętnością głos i poczuła się prawie przerażona, — Stef, zlituj się nademną, ja wiem, ja rozumiem... ja-bym może sama... ale, słuchaj, nie mogę... to jest niemożliwe... przynajmniej teraz jeszcze! — W głosie odzywały się akcenty zgrozy.

— Nie jesteśmy przecież sami, o Boże! — zakryła twarz rękami — jestem, jak w ciemnościach, nie nie wiem Stef...

Nie bronila się już, ręce jej się oplotły wokół jego szyi, a gdy począł ją zacałowywać, osunęła mu się na ramionach, półotwarte usta jej chytyłać łapczywie oddechy i zaczęła nagle łopotać się w jego rękach i szarpać tak dziwnie, że poeta ochłonnał.

MIŁOŚĆ.

Był to nowy, krótki, niezwykle silny atak. Przerażony Stefan zbudził Brunona i przesiadali wspólnie do rana po obu stronach łóżka, trzymając ją za zdętwiałe ręce.

Stefan nazajutrz chodził, jak struty i nie śmiał spojrzeć w twarz Lili, ale ona zaczęła pierwsza z cichym uśmiechem:

— Nie gniewaj się na mnie; ja bym uległa, ale sprzeciwiło się me chore serce temu, ono jest tak czujne, że mnie przed niestosownością ostrzeża, co mam czynić dyktuje.

Rada jestem z tego, co się stało, bo czuję, że ta noc, w której mnieście obaj trzymali za ręce, noc spędzoną we wspólnej trwodze o mnie zbliżyła was bardzo, przeczennie przeżyliście wspólne uczucie serdecznej troski.

Słyszałam, jakieście ze sobą bratersko szepтали, jak naradzaliście się nademną—słyszałam wszystko, choć niby spałam, a właściwie leżałam nieruchomo, zmęczona i było mi tak dobrze, tak słabo i słodko, że przyciągnęłabym was obu do łona i myślałam, że wreszcie nadejdzie taki moment, że żaden z was nie będzie żałował drugiemu dowodów mej miłości i powie sobie bez gniewu i złości: — dziś jego dzień szczęścia, a jutro będzie mój!... Nadejdzie taka chwila, że będę mogła wam obu miłośnie spojrzeć w oczy, obu uśmiechać się zalotnie i każdego, jakoby zdradzonego, pocałunkami przeprosić i wynagrodzić spotęgowaną pięszczętą, że nie będę doświadczała, ani słuchała żadnych wyrzutów, nie będę widziała żadnych, rozdzierających mi duszę, serce, że będziecie mnie kochali bez zastrzeżeń i obawowań tak, jak ja was kocham i, że będę was mogła stokroć szczerzej obdarować miłością, bo stanę się, jak rozkwitły, w pełni słońca kwiat, a wierz mi Stefanie, że w szczęściu rośną siły.

— Lili — wyjąkał Stefan — ale nim to słońce wejdzie rosa oczy wyje.

Lili umilkła i po chwili wymówiła smutna:

— Bo pomóżcie mi dźwignąć to słońce, sama nie uradzę, zwłaszcza, że mam słabą. Załatwcie ten spór między sobą, wiecie przecież wszystko, a zachowujecie się tak, jakby to było dla was tajemnicą: mnie dotyka i obraża nawet to, że jakgdyby pałtrzyć na ma zdrożność przez palce — wybaczacie mi łaskawie to, że was kocham... — załkała.

— Nie płacz, na Boga! uczynię, jak żądasz — odparł wzruszony Stefan i postanowił rozmówić się z Brunonem, korzystając z dnia święta, który Brunon obiecywał całkowicie spędzić w domu. Nie było to jednak tak łatwe, jak mu się na razie wydawało.

Dalszy ciąg nastąpi.



— Znowu wychodzisz?
— Niedługo wrócę. Za dwie... trzy godziny. Nie myśl Bóg wie co... Prawie tydzień ludzi nie widziałem.

— Ludzi!... A my — Kazik i ja. —
— No, mo. — Przecież was mam zawsze.

— Weź ciepły płaszcz...
— Ewuś, nie męczyć wiecznie troską o moje zdrowie, bo zachoruję ze złości.

— Dlaczego tatuś gniewa się na mnie?

— Gdzież tam! tatuś tylko udaje (cicho, z uśmiechem). Pocałujże mnie przynajmniej... Niech Kazik widzi, że mię kochasz.

— Jaka ty śmieszna... Żeby Kazik widział! W cylindrze tak niewygodnie. — No, dobranoc. Pa... pa...

— Dobranoc...
— Prawda mamo, jak my się będziemy cieszyli za dwie godziny, kiedy tatuś wróci?

* * *

— Czytaliście?... Wojna! Czy to tylko prawda?! Chłopcy, chłopcy... Hje, kelner, szampańskię! Wołanie! Wierzę, że wyrywałem? Zaczniemy naprawdę żyć?... A ty czego, ty, bładz filozofie — głośniej!

— Czy dotąd było ci tak źle na świecie, że cieszysz się tak strasznie z odmiany?

— Żle na świecie. — Niech cię dyabli. Alboż ja dotąd na świecie żyłem? Było się zawsze w dusznej izbie — najpierw w szkole, potem w kancelaryi, w dzień przy biurku czy stole jadalnym — w nocy w łóżku albo w knajpie.—O świecie słyszałem, mówiłem, czytałem... ale kto z nas zna go naprawdę? Dotąd wogóle nie było świata.

— Byłeś szczęśliwy...
— Nudzilem się.
— Jesteś młody, zdrow...
— Właśnie! Chcę żyć. —
— Masz żonę, dziecko...
— Chłopcy, czy to tylko prawda?

Wojna?! Pierwsze słowo piękne w życiu mojem... Od tej chwili zaczyna się coś nowego. — Nareszcie!

* * *

— Żyje. Przysięgam pani. A jednak proszę się przygotować na cios okropny...

— Prawdy, na miłość Boską! Stan beznadziejny, co! Żyje, ale zaraz umrze? Prawdy!

— Będzie żył. O, niech pani przedemną nie kłóczy.

— Dzięki, dzięki, dzięki. — Znowu jest Bóg, znowu świeci słońce. — Będzie żył.

— Tak, ale... to jego życie będzie nieszczęściem dla niego i dla pani.

— Drogie, błogosławione życie jego! Wróci do mnie, wróci i zostanie — prawda? Zobaczą go — Kazik, zobaczysz tatusia.

— Zobaczą go, ale... biedna pani moja — on was nie zobaczy.

— Bezprzytomny?
— Gorzej...
— Boże, Boże.
— Ślepy.

— Nie odchodź, Ewuś, odemnie. Przez cały kwadrans nie było ciebie w pokoju.

— Jestem, mój złoty, jestem. Byłam tylko u Kazika.

— Co robi?

— Bawi się.

— Czemu? Konikiem? Tym większym? Dobrze, ale potem niech przyjdzie. Gdzie ty stoisz? Przed komodą? Jaką masz suknię?

— Niebieską.

— Ślicznie ci w tej niebieskiej. Nie śmieję się ze mnie, bo ja ciebie...

— Tak, jedyny, ty mię widzisz.

— Widzę cię tysiąc razy lepiej, niż przedtem.

— Chodź, chodź do mnie.

— Drogi, mój drogi.

— Widzę, jak mnie kochają oczy twoje, uśmiech, twarz, ręce twoje. — Widzę twoje serce. Jak tu jest dobrze — w naszym domu. Jak wy mnie kochacie! Widzę pierwszy raz... Kto mówi z Kaziem w przedpokoju. —

— Nikt, nikt.

— Jakaś pani. Cicho, bo chcę słyszeć...

— Mama w domu?

— W domu. I tatuś...

— Ach, twój biedny tatuś...
— Dlaczego pani tak smutno mówi? My wszyscy tak się cieszymy...

— Pst... niech mówią. Ha, ha. Kazik ma rację, — ta dama niepotrzebnie się lituje. — Nigdy w życiu nie było mi tak dobrze, jak teraz.

— Nie śmieję się, dziecko, bo twój tatuś jest kaleką.

— Niech pani nie wygaduje na tatusia! Wie pani kim on jest? Bohaterem! Hura! Mój tatuś jest bohaterem!

Tadeusz Rittner.

Nie pomnij, dziewczę...

*Nie pomnij, dziewczę kochane,
na życia chmury!
niech przez twe usta różane
piosenki, radością tkane,
płyną w lazury!*

*Niech jasna, jako błękity,
będzie twa dola!
i niech twych marzeń zenity
otacza blask szczęściem lity,
jak aureola!*

*Niechaj okoli tve skronie
tęcza miłości!
i w życia jasne wejdz tonie,
w wieczystej prawdy koronie,
jak świt wolności!*

*A jeśli nad twoja niwe,
uczuciem siana,
nadleca wichry burzliwe, —
pokochaj serce prawdziwe
i bądź kochaną!*

Jacek Małewski.



Powrót taty.

...Jak tylko moskałom zaczęło się nieprowadzić na wiosnę r. z. nad Dniestrem, zaraz tata zapowiedział mamie, że się będzie ewakuował. W przystępie czułości, że to po latach obojętności i nie zgody (przymuszone małżeństwo!) zaczęli nagle gustować w sobie, ba, rozkochiwać się nawet! — namawiał ją coraz częściej, żeby spakowała manatki, zabrała dzieci i jechała z nim razem. Ale mama i dzieci, zwłaszcza starsze latorośle, zbyt były przywiązane do Warszawy — nie chciały ani słuchać! Tata prosił, perswadował, groził wreszcie, że zmusi i siłą zapakuje wszystkich do wagonu. Ale w ostatniej chwili ledwie sam zdążył wskoczyć do pociągu...

Długo nie było o tacie nie słychać. Mama powoli oswoiła się z nowym stanem rzeczy, dzieci były nawet bardzo zadowolone. Szczerze nie lubiły taty; ciągle się gniewał, że się tak mało i niechętnie uczą po rosyjsku! (Tata był urzędnikiem). Obie ciocie i sędziwy wujaszek również przestali o tacie wspominać. I było jako tako...

Aż po dziesięciu miesiącach, gdy bleda przycisnęła nie na żarty, wspominało w rodzinie o ewakuowanym...

„Niezdolny był, co prawda, upijać się, bił nawet czasami, ale pieniędzy przynajmniej nie brakowało” — rozmyślała z lekkim zawstydeniem, zatroskana mamą... W myśli, bez słów, wzdychały podobnie obie ciocie, wujaszek sędziwy, oraz cała falanga bliższych i dalszych krewnych... Gorąco przyklaskiwał temu sklepikarz, w słowach wymownych jeszcze goręcej potwierdzały to właścicielka magla i mieszkanka suteryn. Powoli, wstępnienie nie jednej rodziny stało się ciałem powszechnego przekonania całej otociny i zamieszkało między nimi. Mama już sama wkońcu nie wiedziała, kogo

słuchać i jak ma być lepiej? Czy jak wróci i czy jak nie wróci wcale? I gdyby choć wiedzieć jaki wróci?...

Tylko najstarszy syn Adas i dorosła córka Julcia zdecydowanie obstawali przy swoim, że bez taty lepiej, bo on by nie pozwolił ani Adasiowi być skautem, ani Julci studentką w uniwersytecie!

Tak nadszedł czerwiec, a z nim ofenzywa... Nadzieje oficyny przykucnęły u stóp grzbietów bukowińskich. Agencya z suteryn i magla wypuszczała codziennie nowy komunikat, i co jeden, to groźniejszy! Już już — — — Cała historia sierpnia roku zeszłego odwijają się w nich w stronę powrotną, niby film puszczony na ekran od końca do początku... Na połowę września, może wcześniej jeszcze, tata będzie z powrotem! I tym samym pociągiem, którym wyjechał z moskałami! Już najstarszy Adas i dorosła Julcia zaczynają nie na żarty kombinować, jak to oni „machną na wszystko” i świsną z domu — — —

Aliści, pięknego popołudnia, zjawia się u mamy urzędnik policyjny, i żądający osobistej konfrontacji, odczytuje z papierka garść suchych wiadomości:

Zdrów — pozdrawia — spodziewa się, że niedługo już — — —

Skąd to? Z nad Dźwiny, z Moskwy, od Uralu? Broń Boże! Z małego miasteczka w księstewku udzielnem, czy zgola prowincyi wielkiego mocarstwa...

O, dziwie historii!
Wywędrował na Wschód, a odzywa się nagle z Zachodu!

Mama teraz zgola już nie wie, — ani obie ciocie, ani wujaszek sędziwy, — czy cieszy się z komunikatów magla i suteryn, czy smuci? I czy prędzej z tego lub owego powodu powróci tata do Warszawy, czy później? I od której strony?

A jeżeli on już jest w Warszawie?
W tej wielkiej wojnie wszystko jest możliwe — rozmyśla mama.

B. Gorceyński.

dział, drząc na całym cielem i nie śmiejąc odsłonić oczu. by tego widnia nie ujrzeć. Rozigrana wyobraźnia wywoływała przed nim wyraźny, jakby na jawie ten okrutny uśmiech, tę skaleczoną rękę i te tajemnicze oczy głębokie, jak fale morskie.

Montanelli otrząsnął się wreszcie z tej męczącej halucynacji i zabrał do roboty. Przez cały dzień był bardzo zajęty i nie miał czasu myśleć o Baku; lecz gdy późnym wieczorem wszedł do sypialni, przystanął na progu, zdjęty nagłą trwogą. A jeżeli ujrzy we śnie to straszne widmo? Opanował się natychmiast i ukląkł przed krucyfiksem.

Ale przez całą noc nie zmrzążył oka.

ROZDZIAŁ

Pomimo całego gniewu Montanelli nie zapomniał o swojej obietnicy i tak gorąco powstawał na obchodzenie się z Bakiem, że zrozpaczony gubernator polecił zdjąć zeń kajdany.

— Ciekawa rzecz, co teraz Jego Eminencya wymyśli — mruzczał do swego sekretarza. — Jeżeli prostą parę bransoletki nazywa „okrucięstwem”, to może zacznie się oburzać na kraty w oknie i żąda, bym karmił Rivareza tuflami i ostrzygami. Za moich młodych dni zbrodniarze byli zbrodniarzami i obchodzono się z nimi odpowiednio i nikt nie uważał zdraycy za coś lepszego od złodzieja. Ale dziś buntownictwo jest w modzie, a Jego Eminencya wziął się wyraźnie, by dawać zachętę wszystkim łotrom w kraju.

— Wogóle, mojem zdaniem, wtrąca się w nieswoje rzeczy — zauważył sekretarz. — Nie jest Legatem i nie ma żadnej władzy w sprawach cywilnych i wojskowych. Prawnie biorąc — — —

— Ach! co tu mówić o prawie. Kto dziś szanuje prawo, gdy Ojciec Święty utworzył więzienia i wypuścił na nas całą zgraję liberalnych drapichrustów! Oczywiście, Monsignor Montanelli nie chce pozostać w tyle. Siedział cicho za poprzedniego papieża, ale teraz trzyma pierwsze skrzypce. Jest w łaskach i może robić, co mu się podoba. Jakże mu się mam sprzeciwić? Może ma jakieś tajemne zlecenia z Watykanu; albo ja wiem? Wszystko dziś przewraca się do góry nogami i nikt nie może powiedzieć, co jutro przyniesie. Za dawnych, dobrych czasów człowiek wiedział, czego się ma trzymać, ale dziś — — —

Gubernator wzruszył wymownie ramionami. Świat, w którym kardynałowie wtrącali się do więziennych regulaminów i rozprawiali o „prawach” politycznych przestępców stawał się zbyt zawilim dla niego.

Co się tyczy Baka, ten wrócił do fortecy w stanie wprost historycznego rozdrażnienia. Spotkanie z Montanelli'm przeciągnęło strunę jego

E. L. Voynich.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

B A K.

28

POWIEŚĆ.

Ołówek wypadł z palców Montanelli'ego.

— To za wiele — rzekł kardynał głucho.

Bak przechylił głowę w tył z chichem chichotem i patrzył na Montanelli'ego, który zaczął chodzić po pokojku.

— Signor Rivarez — rzekł Montanelli, zatrzymując się wreszcie przed nim — wyrządził mi pan najcięższą zniewagę, jaką człowiek obdarzony odrobina serca zaważył się wyrządzić swemu śmiertelnemu wrogowi. Podpatrzyłeś mnie w moim osobistym bólu i uczyniłeś sobie igraszkę z cierpienia bliźniego. Raz jeszcze usilnie zapytuje pana, czym cię kiedykolwiek skrzywdził? A jeśli nie, czemu zażartowałeś sobie ze mnie tak niegodnie?

Bak wciąż oparty o poręcz krzesła popatrzył na niego z jakimś nieokreślonym, subtelnym uśmiechem.

— To mnie bawiło; Wasza Eminencya brała to tak wszystko do s...serca; i to mi przy...pomniało pewien wę...dr...rowny cyrk — —

Montanelli błady, jak płótno, odwrócił się i zadzwonił.

— Możecie zabrać więźnia — rzekł do wchodzących straży.

Gdy odeszli, siadł przy stole, wciąż trzęsąc się z niezwykłego oburzenia, i zaczął przerzucać raporty, przysłane mu przez proboszczów jego dycezyi.

Ale wnet odsunął je i opierając łokcie na stole, ukrył twarz w dłoniach. Rzekłby kto, iż Bak pozostał po sobie jakiś straszliwy cień, ni by obecność upiora, i Montanelli sie-

wytrzymałości duchowej i brutalne zestawienie z wędrownym cyrkiem podyktowała mu chęć zakończenia rozmowy, bo czuł, że jeszcze parę minut, a wybuchnie płaczem.

Wezwany do badania tego samego dnia, na każde pytanie odpowiadał śmiechem, a gdy gubernator, straciwszy cierpliwość, zaczął kląć, zanościł się prosto od konwulsyjnych objawów wesołości. Nieszczęśliwy gubernator zżymał się, pienił, groził opornemu więźniowi wszelkiego rodzaju karami, lecz wreszcie doszedł do przekonania, że prosto szkoda było czasu i zdrowia na słowną walkę z tego rodzaju przeciwnikiem.

Odprowadzono więc znowu Bąka do celi, gdzie leży na tapczanie wyczerpany i zrozpaczony, jak zwykle po tego rodzaju hałaśliwych wybuchach. Leżał tak do wieczora bez ruchu, niezdolny nawet myśleć. Po gwałtownym wstrząśnieniu porannem ogarniał go stan dziwnej apatii, w którym jego własny ból wydawał mu się tylko jakimś tęnym uciskiem, gniojącym odrętwiałą na drewno duszę. W gruncie rzeczy nie chodziło mu o to, jak się to wszystko skończy; najważniejszym było uniknięcie niezdolnych mąk, a czy te ulgę miała przynieść zmianę obecnych warunków, czy też śmierć sama, o to się na razie nie troszczył. Może udą mu się uciec; może go zabiją; w każdym razie nie zobaczy już swojego Padre, a o resztę mniejsza.

Jeden z dozorców przyniósł mu wieczorny posiłek; Bąk spojrzął na niego obojętnie.

— Która godzina?

— Szósta. Kolacja, panie.

Spojrzął ze wstrętem na cuchnącą, nawpół zimną strawę i odwrócił głowę. Czuł się chorym zarówno duchowo, jak fizycznie i widok jadła napelniał go odrazą.

— Pan się rozchoruje, tak nie jedząc — rzekł żołnierz pospiesznie. — W każdym razie niech pan zje kawałek chleba; to panu dobrze zrobi.

Mówił ze szczególnym naciskiem, podnosząc z talerza kawałek stęchłego chleba i kładąc go napowrót. Zmysł spiskowca ocknął się w Bąku; odgadł zaraz, że w tym chlebie coś było ukryte.

— Możesz go zostawić; zjem go później — rzekł niedbale.

Drzwi były otwarte i wiedział, że sierżant na schodach słyszy każde słowo, jakie pomiędzy sobą zamienia.

Gdy zaryglowano go znowu i gdy się upewnił, że nikt przez „Judasza“ nie patrzy, wziął chleb i ostrożnie go pokruszył. W środku znajdował się zwinięty skrawek zapisanego papieru. Bąk rozprostował go starannie i poniósł do światła. Pismo było tak drobne i ścisłe, że z trudnością zdołał je odczytać.

„Drzwi nie będą zaryglowane i niema księżycy. Skończ z piłowaniem, jak można najprędzej, i wyjdź korytarzem pomiędzy drugą a trzecią. Jesteśmy gotowi i to może jedyna sposobność“.

Gorączkowo zgniół papier w dłoni. Poczyniono więc przygotowania i jemu pozostawało tylko przepiłować kraty u okna. Ile ich było? Cztery; a każda musiała być przepiłowana w dwóch miejscach. Jakie to szczęście, że mu zdjęto kajdany! Upora się z tem w ciągu nocy; ale że Gemma i Martini mogli tak szybko wszystko przygotować: pasporty, przebrania, kryjówki! Musieli mieć dużo do roboty. Jednakże stanęło ostatecznie na planie Gemmy! Mimowoli roześmiał się z własnej głupoty; boć przecie wszystko to było jedno, czy plan był jej, czy nie jej, byle tylko okazał się dobrym. A jednak cieszył się, że to od niej wyszła myśl zużytkowania podziemnego korytarza, zamiast spuszczenia się oknem po sznurowej drabinie, jak to projektowali przemytnicy. Plan Gemmy był trudniejszy do wykonania, ale nie pociągał za sobą, jak tamten, konieczności zabicia żołnierza, pilnującego muru nazewnątrż od strony wschodniej. To też gdy Bąkowi przedstawiono obie alternatywy, bez wahania wybrał plan Gemmy.

Ułożono zatem, że życzliwy strażnik, znany pod przewiskiem „Świerszcza“, skorzysta z pierwszej sposobności, by otworzyć z klucza bez niczyjej wiedzy żelazne drzwi, wiodące z dziedzińca do podziemnego korytarza, znajdującego się pod wałami, a potem niezauważnie powiesi klucz na zwykłym miejscu w strażackiej izbie. Bąk, otrzymawszy tę wiadomość, miał przepiłować kraty w oknie, podrzeć koszulę na pasy i skrócić z nich sznur, po którym należało mu się spuścić wzdłuż wschodniego muru, wychodzącego na dziedzińiec. W południowo-wschodnim rogu tej ściany znajdowała się nawpół rozwalona wieżyczka, gęsto obrosnięta bluszczem. Po tym bluszczu Bąk miał spuścić się na dziedzińiec, podpełznąć do żelaznych drzwi i otworzywszy je ostrożnie, dostać się korytarzem do łączącego się z nim tunelu.

Przed wiekami tunel ten stanowił tajemne przejście z fortecy do wieży wzniesionej na sąsiednim wzgórzu; obecnie jednak zaniedbano go, a ospyśka skał zatarasowały go w paru miejscach. I nikt prócz przemytników nie wiedział o ukrytej na zboczach góry jamie, którą wykopali, by ją połączyć z tunelem; nikomu przez myśl nawet nie przeszło, że stopy zakazanych towarów tygodniami spoczywały pod wałami fortecy, podczas, gdy celnicy napróżno przetrzasali domy ponurych górali.

Do tej jamy Bąk miał się przekraść, a potem pod osłoną nocy po-

dażyć na umówiony punkt, gdzie Martin; i jeden z przemytników mieli na niego oczekiwać. Cała trudność tkwiła w tem, że sposobność otwarcia drzwi z klucza po wieczornym patrolu nie zawsze się zdarzała; a z okna można się było spuścić tylko w ciemną noc, inaczej bowiem groziło poważne niebezpieczeństwo ze strony sztyldwacha. Obecnie zaś wszystko składało się pomyślnie, należało więc korzystać.

Bąk usiadł i zjadł kawałek chleba, który nie budził w nim takiej odrazy, jak reszta więziennej strawy, a czuł, że posilił się musi koniecznie i zażył trochę snu i odpoczynku. Czeekała go ciężka praca, a przed dziesiątą niebezpiecznie było zaczynać piłowanie.

Lecz wspomnienie rozmowy z Montanelli'm nie dawało mu spokoju.

Tak tedy Padre miał zamiar ułatwić mu ucieczkę! Jak to było podobne na niego! Ale on nigdy na to nie przystanie. Raczej wszystko, niż to! Jeżeli ucieknie, to dzięki sobie samemu i pomocy towarzyszy; od księży żadnych dobrodziejstw nie chce.

Ach! jak gorąco! Zbierało się na burzę i Bąk czuł to w całym organizmie. Ogarnął go dziwny niepokoń, nie mógł sobie znaleźć miejsca na tapczanie. W pierwszej chwili podłożył obandażowaną rękę pod głowę, lecz wydobył ją natychmiast, tak nieznośnie go piekła i bolała. A w dodatku wszystkie dawne rany poczynały mu dokuczać. Cóż to znać? Czyżby... Och! głupstwo! to tylko tak przez burza. Byle tylko zasnąć trochę i odpocząć.

Osiem pretów żelaznych i wszystkie takie grube i mocne! Ileż ich jeszcze zostało? Chyba niewiele. Piłuje już przecie od tyłu, tyłu godzin i zapewne dlatego ręka go tak rwie w okropny sposób. Ale skąd taki sam ból w boku i w chromej nodze? Przecież nie od piłowania!

Drgnął i ocknął się. Nie, nie spał; drzemał tylko z otwartymi oczami, a o tem piłowaniu majaczyło mu się tylko... Kraty stoją nietknięte i właśnie dziesiąta wybiła na więzowym zegarze. Trzeba wstać i zabrać się do roboty.

Spojrzął przez „Judasza“ i upewniwszy się, że nikt go nie śledzi, wydobył ukryty na piersiach pilnik.

Nie! Nic mu nie jest! zupełnie nie! To wszystko gra wyobraźni. Ten ból w boku to z przeziębienia lub niestrawności; i nic dziwnego; po trzech tygodniach ohydnej więziennej strawy i stęchłego powietrza. A to rwanie i drżenie w całym ciele, to po części wynik zdenerwowania, a po części braku ruchu. Tak, tak, niewątpliwie, to z braku ruchu. Że też mu to wcześniej na myśl nie przyszło!

Usiądzie teraz trochę i odpocznie; niech to przejdzie, weźmie się

do roboty. To przejdzie za parę minut.

Ale gdy siadł, bóle zwiększyły się i ogarnęła go śmiertelna trwoga. Nie! nie! trzeba się wziąć niezwłocznie do roboty i otrząsnąć się z tego. Czuć lub nie czuć leży w ludzkiej mocy; tylko należy wmówić w siebie, że się nie czuje.

Wstał więc, mówiąc głośno i wyraźnie:

— Nie jestem chory. Nie mam czasu na chorobę. Muszę przepiłować te kraty, więc się nie rozchoruję.

I zaczął piłować.

Kwadrans po dziesiątej — wpół do jedenastej — trzy na jedenasta...

Bak piłował i piłował, a zgrzyt żelaza napelniał go takim uczuciem, jakgdyby ktoś jemu piłował mózg i ciało.

— Ciekawym, co się przepiłuje wcześniej — rzekł do siebie zaśmiały się cicho — ja, czy kraty?

I zacisnąwszy zęby piłował dalej.

Wpół do dwunastej. Piłował i piłował wciąż, pomimo, że ręka sztywna i nabrzmiała zaledwie mogła utrzymać narzędzie. Ale nie śmiał odpuścić. Bo czuł, że jeśli raz przestanie, nie będzie miał odwagi zacząć na nowo.

Wtem za drzwiami dał się słyszeć szmer i lekkie stuknięcie kolbą karabinu. Bak przestał piłować i obejrzał się. Czyżby go odkryto?

Lecz nikt nie wszedł; tylko niewidzialna ręka cisnęła przez judasza na podłogę zmiętą kulkę papieru. Bak położył pilnik i schylił się, by podnieść papier.

Nagle zakręciło mu się w głowie, pociemniało w oczach... Ale to nie... To się zdarza, gdy się człowiek schyli... Jemu nie przecież nie jest!

Rozprostował papierek i poniosł go do światła:

„Koniecznien dziś; nie zwlekaj. Jutro „Świerszcz“ ma być przeniesiony gdzieindziej. To nasza jedyna sposobność“.

Zniszczył kartkę podobnie jak poprzednia i wziął się na nowo do piłowania milczący, ponury, zrozpaczony.

Pierwsza po północy. Przepiłował już sześć krat, dwie tylko pozostały. A potem przez okno...

Zaczął przypominać sobie okoliczności, w jakich przychodziły poprzednie ataki. Ostatni był na Nowy Rok i dreszcz go przebiegł na wspomnienie owych pięciu nocy. Ale żaden nie napadał go tak nagle...

Upuścił pilnik i rozpaczliwie podniósłszy splecione dłonie w górę, zaczął się modlić. On, ateusz zakamieniały, modlił się po raz pierwszy od tyłu lat, sam nie wiedząc, do kogo się modli:

— Nie dzisiaj! Nie dzisiaj! Ochniech ja do jutra tylko nie zachoruję! Jutro zniósę wszystko, byle nie dzisiaj! Nie dzisiaj!

Stał przez chwilę nieruchomo, ścisnąc skronie rękoma, poczem zabrał się znów do roboty.

Wpół do drugiej. Zaczął ostatnią kratę. Z rękawów od koszuli wisiały mu strzępy; krew miał na wargach, czerwoną mgłę przed oczyma i ciało sperline potem; ale piłował, niezmordowanie.

Montanelli usnął po wschodzie słońca. Był do cna wyczerpany całonocną bezsennością i czas jakiś spał spokojnie, poczem zaczęły go dręczyć widzenia.

Zrazu były to jakieś nieujęte majaki, bezładnie następujące po sobie, posępne i bolesne... Lecz po pewnej chwili wrócił mu sen o bezsenności, który go od szeregu lat prześladował.

Śniło mu się, że błądził po jakimś wielkiem pustkowiu, szukając zacisznego miejsca, gdzieby mógł położyć się i usnąć. Ale wszędzie, gdzie zajął, było pełno ludzi; ludzie ci rozmawiali, śmieli się, modlili, grali, dzwonili. Czasem oddalał się trochę od tego zgietku i kładł to na trawie, to na drewnianej ławie, to na kamieniu. Zamykał oczy i przysłaniał je rękoma, mówiąc sobie: „Teraz zasnę“. Ale wnet zbiegały się dokoła niego tłumy, wrzeszcząc i wołając na niego po imieniu: „Obudź się! Obudź się prędko! Potrzebujemy cię“!

To znów znajdował się w jakimś wspaniałym pałacu, w wielkich komnatach, w których stały miękkie łóżka i niskie leżaki. Noc już była, więc powiedział sobie: „Tu nareszcie znajdę sobie spokojny kącik i usnę“. Lecz zaledwie położył się w jakimś ciemnym pokoju, ktoś wszedł z lampą i świecąc mu w same oczy, rzekł: „Wstań! Jesteś potrzebnym“.

Wstał i błąkał się, chwiał się i potykając, jak człowiek śmiertelnie ranny i słyszał zegary bijące pierwsza i wiedział, że już połowa nocy minęła, tej drogocennej nocy, która była tak krótką. Druga, trzecia, czwarta, piąta, o szóstej miasto się zbudzi i już nigdzie nie będzie można znaleźć spokoju.

Zaszedł wreszcie do jakiejś komnaty i chciał się położyć; lecz z postanienia zerwał się ktoś, wołając: „To jest moje łóżko“, a on cofnął się z rozpaczą w sercu.

Godziny były jedna po drugiej, a on wciąż błąkał się z domu do domu, z pokoju do pokoju, z korytarza do korytarza. Straszliwy, szary brzask był już blizki; zegary wybiły piątą; noc minęła, a on nie zaznał chwili wypoczynku. O! męko!... Znowu nadechodzą dzień! Jeszcze jeden dzień!

Szedł jakimś podziemnym korytarzem, niskim i sklepionym, który zdawał się nie mieć końca. Oświecały go wielkie lampy i kandelabry, a z góry dochodziły dźwięki tanecznej muzyki i wesołe śmiechy... Widocznie bał jakiś się odbywał! Och! gdy-

by się skryć gdzieś w kącie i usnąć... bodaj w grobie! I gdy tak myślał, potknął się o otwarty grób, zionący stęchlizną i trupią wonią... Ach! mniejsza z tem, byle tylko usnąć.

„To mój grób“ — ozwał się głos jakiś... a on poznał, że to był głos Gładys, i ujrzał, że podniosła głowę i wpatruje się w niego po przez zbudziały całun. Ukląkł więc i wyciągnął do niej ramiona.

— Gładys! Gładys! Ulituj się nademną! Pozwól mi położyć się obok ciebie i usnąć. Nie proszę cię o miłość, nie dotknę cię nawet, nie przemówię jednego słowa, tylko pozwól mi położyć się i usnąć. Nie mogę już znieść jednego dnia więcej. Światło oślebia mi duszę; wrzawa życia miazdży mi mózg na proch. Gładys, pozwól mi wejść i usnąć.

I chciał przesłonić sobie oczy jej całunem. Lecz ona cofnęła się, krzycząc:

— To świętokradztwo! Tyś jest ksiądz!

I znowu błąkał się dalej, aż zaszedł nad brzeg morza. Okrutne światło dzienne oblewało już skały, o które były fale z cichym, nieustającym jękiem. „Ach“, pomyślał „morze będzie litościwsze; ono również jest śmiertelnie zmęczone i nie może usnąć“.

Lecz w tej samej chwili Artur wyłonił się z odmetów i zawołał:

— To morze jest moje!

— Wasza Eminencyo! Wasza Eminencyo!

Montanelli zbudził się nagle. Służący jego pukał do drzwi. Montanelli wstał machinalnie i otworzył, a służący przestraszył się jego bladoci i wypiętnowanego w rysach zniekania.

— Czy Wasza Eminencya chora?

Montanelli przeciągnął rękoma po czole.

— Nie; spałem; przestraszyłeś mnie.

— Przepraszam. Wasza Eminencyo, ale słyszałem wczesnym rankiem, że Wasza Eminencya nie śpi i myślałem —

— Czy to już późno?

— Dziewiąta i gubernator przyszedł. Powiada, że ma bardzo ważny interes, a wiedząc, że Wasza Eminencya wczesnie wstaje —

— Poproś, żeby zaczekał. Zejdę zaraz.

Ubrał się i zszedł na dół.

— Bardzo przepraszam, że w tak nieodpowiedniej porze nachodzę Wasza Eminencye — zaczął gubernator.

— Czy się stało coś złego?

— I jak jeszcze, Rivarez omal nie uciekł.

— Ale skoro nie uciekł, więc się nie stało. Jakże to?

— Znaleziono go na dziedzińcu, koło żelaznych drzwiczek. Gdy patrol obchodził dziedzińiec o trzeciej zrana, jeden z żołnierzy potknął się

o coś na ziemi, a gdy przyniesiono światło, pokazało się, że to Rivarez leży nieprzytomny. Żołnierze wszczęli alarm; posłano po mnie, a gdy wszedł do celi, zobaczyłem, że wszystkie kraty u okna są przepiłowane a u jednej wiszą uwiązany sznur skręcony z podartej bielizny. Rivarez spuścił się po nim. Żelazne drzewiczki wodzące do podziemnego korytarza nie były zamknięte na klucz. To wygląda, że strażnicy były przekupione.

— Ale jakim sposobem leżał na drodze? Czy spadł i potknął się?

— Tak myślałem z początku Wasza Eminencyo, ale chirurg więzienny nie mógł odnaleźć żadnych śladów upadku. Żołnierz, który był wczoraj dyżurnym, powiada, że Rivarez bardzo źle wyglądał, gdy mu przyniosł wiecez, i nie nie jadł. Ale to brednie, bo chory człowiek nie byłby mógł przepiłować krat i spuścić się po sznurze.

— A on sam co powiada?

— Jest nieprzytomny, Wasza Eminencyo.

— Ciągłe?

— Raz po raz przychodzi trochę do siebie i jęczy, a potem znów traci przytomność.

— To bardzo dziwne. A cóż doktor o tem myśli?

— Doktor sam nie wie, co myśleć. Nie mógł to być atak sercowy, bo serce w porządku; w każdym razie przyszło to nagle, w chwili, gdy tylko co miał uciec. Co do mnie, widzę w tem wyraźne zrzęczenie Opatrzności.

Montanelli zlekka ściągnął brwi.

— Co pan zamierzasz z nim uczynić?

— Za parę dni rozstrzygnę to pytanie. Tymczasem dostałem dobrą nauczkę. Oto są skutki zdejmowania kajdan, z przeproszeniem Waszej Eminencyi.

— Spodziewam się — przerwał Montanelli — że mu pan w chorobie kajdan nakładać nie każesz. Człowiek znajdujący się w takim stanie, jak pan opisujesz, nie potrafiłby chyba myśleć więcej o ucieczce.

— Już ja się o to postaram, by mu chętką nie przyszła — mruknął gubernator pod nosem, gdy się z nim drzwiami zamknęły. — Dalekobyśmy zajechali, gdybym zważał na sentymentalne skrupuły Jego Eminencyi. Chory czy nie chory, Rivarez ma sobie nałożone kajdanki i już w nich pozostanie.

— Ale jakże się to stać mogło? Zemdleć w ostatniej chwili, gdy wszystko było gotowe, przy samych drzwiach! To wygląda na jakiś ohydny żart!

— Mówię ci — odpowiedział Martini — że musiał dostać ataku i że zemdlał z wyczerpania, gdy się znalazł wreszcie na dziedzińcu.

Dalszy ciąg nastąpi.



Pięć części świata poza europejskich.

P. Tadeusz Radliński napisał bardzo oryginalny podręcznik do nauczania geografii. Podręcznik ten napewno spotka się z dużym zastosowaniem w naszym szkolnictwie, gdyż metoda p. Radlińskiego powinna dać rezultaty bardzo pomysłowe. Autor mówi: „co do metodyki wykładu, to zamiast podawania gotowych wiadomości zostały wprowadzone pytania, na które uczeń sam odpowiadać musi, posiłkując się atlasem”. Cały szereg inowacyj w postaci zadań wprowadza też p. Radliński, a to w tym celu, by rozwinąć pracę myśli. Mówi autor: „Niech uczeń pracuje myślą, niech kombinuje, niech odpowiada, co mu się zdaje, na dany temat, niech się wytworzy w klasie dyskusja, a niech nie przyjmuje na wiarę niezupełnie zrozumianych i nieprzetrawionych wiadomości — niech, broń Boże, nie kuje!” Rozglądając się w podręczniku, przychodzimy do przekonania, iż istotnie z konsekwencją został opracowany i bezwzględnie może przynieść wielki pożytek w naszym szkolnictwie.

Jednodniówka Kaliska.

W 125-tą rocznicę ustawy rządowej 3 maja 1791 r. Kalisz urządził obchód uroczysty, na czele organizacji którego stanęli pp. St. Bulewski, Józef Dąbrowski i K. Szoltz. Jednodniówka wydana na pamiątkę tej uroczystości zawiera wszystkie materiały, dotyczące obchodu w Kaliszu, jak również zanotowano uroczystości w Liskowie, Opatówku, Sieradzu, Turku, Słupcy i Wieluniu. Na treść złożyły się prace: „W rocznicę” p. Zofii Kaczkowskiej; „Tym, co skargi” — wiersz, „Obchód Roczniczy majowej w Kaliszu” z ilustracjami, „Uroczystość 3 maja w Ziemi Kaliskiej”. „Jak święcono pamiątkę Trzeciego Maja w Kaliszu w latach ubiegłych”. Melania Parczewska: „Pierwsza uroczystość w Kaliszu na cześć ustawy rządowej 3 maja”. Mieczysław Michalski: „Ze wspomnień szkolnych 3 maja”. J. D... „Dar Narodowy 3 maja” w 1907 r. Mieczysław Kranecki: „Zagrały dzwony”... wiersz, „Święto dziecka polskiego”. Jerzy Porębiński: „Może”... wiersz. Gerwazy Janota: „Chwila obecna”. Stefan Giller: „O żołnierzu-tułaczcu” — ballada. T. K.: „Polska Macierz szkolna w roku 1906/7”. M. L. Skassa: „Po wieku kajdan”... — wiersz. Odcinek: „Plebeusz kaliski”. Jednodniówkę wy-

dano na dochód kwesty ogólnokrajowej „Ratujcie dzieci”. Świadczy ona o żywotności Kalisza i jest miłym dowodem niewyczerpanej energii polskość, która nawet na gruzach umie dźwigać z dostojnością zadania narodowe.

Salony i zebrania literackie warszawskie.

Znany historyk, p. Aleksander Kraushar, wydał w książkowej odbitce odczyt p. t. „Salony i zebrania literackie warszawskie na schyłku w XVIII i w ubiegłym stuleciu”. Odczyt ten zyskał sobie wielkie zainteresowanie i gorący aplauz tak ze strony publiczności, jak i fachowej krytyki. Kraushar rozpoczyna swoje studium od powstania cechu literackiego za Stanisława Augusta a kończy zebraniem środowem w domu prof. Tadeusza Korzona. Dzieje salonów literackich — to niemal historia wieku 19-go, naszej kalwaryi narodowej. Tu ogniskuje się życie, stąd płyną ożywcze idee, zbawcze myśli. Wpływ salonów literackich społecznie jest ogromny. Aleksander Kraushar w swoim szkicu nie miał zamiaru pokazać w jakiej mierze salony literackie przyczyniły się do ewolucji programów społecznych, narodowych, jak przez te salony promieniowały nowe doktryny naukowe i polityczne, jak salony decydowały i tworzyły opinie. Dla dziesiątków lat dopiero ubiegłych wpływ wielki miał salon dr. Benniego. Warto, by ktoś z żyjących uczestników tego salonu zapisał, jakie placówki życia tu powstały, przez ten salon zostały rozpropagowane. Szkic mecenas Aleksandra Kraushara jest bardzo interesującym i godnym poznania przyczynkiem do zrozumienia, jaką rolę odegrały w naszym życiu zbiorowem salony literackie. Dla słuchaczy odczytu będzie miłym dokumentem, który napewno nabejdą i skwapliwie zaliczą do swojej biblioteki.

Ojczystym szlakiem.

P. Waław Szelażek wydał drugi zbiorek wierszy p. t. „Ojczystym szlakiem”. Czysty dochód ze sprzedaży przeznacza autor na budowę domu Krajoznawczego w Warszawie. Zbiorek ten jest miłą wiązaną kwiatów polnych. Nie wyróżniają się ani sztuką, ani oryginalnym odczuciem. Są miłe przez swoją prostotę i przez wkład uczuciowości autora. Chętnie przebywa on wśród przyrody, kocha jednak stolicę naszą Warszawę i radby jej pleść girlandy sławy. Kraków nęci jego serce i współczuje grodowi Gedymina, Wilnu.

„Ojczystym szlakiem” p. Szelażka wartości literackiej wybitnej nie posiada, miłym jednak będzie upominkiem w rękach każdego po polsku czującego człowieka.

Błyski.

Tomik aforyzmów, zebranych z doświadczenia życiowego, wydała Laszka; kładąc na nim tytuł „Błyski”. Laszka zmienia znaną tezę Kartezyusza: Myślę, więc jestem — na „Boje się, więc jestem”. Wartość aforyzmów Laszki określa się tą zmianą. Stosunkowo najciekawsze aforyzmy wypowiada Laszka o miłości i o muzyce.